

FALK: WSPOMNIENIE

AMY FOSTER

JUTRO

Joseph Conrad



FALK: WSPOMNIENIE

AMY FOSTER

JUTRO

Joseph Conrad



 SAGA
EGMONT

Joseph Conrad

Falk: wspomnienie, Amy
Foster, Jutro

Saga

Falk: wspomnienie, Amy Foster, Jutro
przełożyła

Aniela Zagórska

tytuł oryginału

Falk, Amy foster, To-morrow (collection of 3 novels)

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1901, 2019 Joseph Conrad i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726090598

1. Wydanie w formie e-booka, 2019

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA
Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

ROBERTOWI B. CUNNINGHAME GRAHAM

Przedmowa ta odnosi się również i do utworu pod tytułem „Tajfun“, który ukazał się już w tomie oddzielnym.

PRZEDMOWA AUTORA

Główną cechą niniejszego tomu stanowi to, że zawarte w nim nowele nie tylko należą do jednego i tego samego okresu, ale zostały napisane jedna po drugiej, w porządku, w którym ukazują się w książce ¹ .

Ów okres przypada na czas po nawiązaniu przezemnie stosunków z Blackwood's Magazine. Skończyłem był właśnie „U kresu sił” i rozglądałem się za jakimś tematem, któryby można było rozwinąć w formie krótszej niż opowiadania składające się na tom „Młodości”; wówczas to nasunęło mi się wspomnienie o parowcu pełnym kulisów, wracających z Singapuru do jakiegoś portu w północnych Chinach. Słyszałem o tem na wschodzie przed laty, jako o niedawnym wydarzeniu. Był to dla nas tylko jeden z licznych tematów do rozmowy. Ludzie, zarabiający na chleb w jakimkolwiek bardzo specjalnym zawodzie, mówią o jego sprawach nie tylko dlatego, że to stanowi najistotniejszą treść ich życia, ale i dlatego, że mało mają wiadomości z innego zakresu. Nie starczyło im nigdy czasu aby się z czem innem obeznać. Dla większości z nas życie bywa dozorcą nietyle twardym co wymagającym.

Nie zetknąłem się osobiście z żadną z osób zamieszczanych w tę historję, która nie zajmowała nas naturalnie z powodu burzy, ale ze względu na niezwykle komplikacje wprowadzone do życia okrętu — w chwili wyjątkowych jego wysiłków — przez ludzki żywioł znajdujący się pod pokładem. Nigdy tej sprawy szerzej przy mnie nie omawiano. Wśród tamtej naszej kompanji każdy mógł sobie łatwo wyobrazić, jak się owa historia odbyła.

Finansowe jej trudności, zawierające również i problem humanitarny, zostały rozwiązane przez umysł tak prosty, że nic na świecie nie mogło go wprowadzić w zakłopotanie — wyjąwszy próżną ludzką gadaninę, do której nie był stworzony.

Od pierwszej chwili sama treść tego zdarzenia, samo — powiedzmy — stwierdzenie faktu, że się taka rzecz stała na szerokim morzu, wydało mi się dostatecznym tematem do rozmyślań. Ale właściwie był to przecież tylko fragment morskiej opowieści. Czułem że aby wydobyć z niego głębsze znaczenie — tak dla mnie oczywiste — trzeba jeszcze czegoś więcej, czegoś innego: przewodniego motywu, któryby szarmonizował wszystkie te ogłuszające hałasy — i punkt widzenia, któryby wyznaczył rozpętanym żywiołom miejsce dla nich właściwe.

Tem, czego potrzebowałem, był naturalnie kapitan MacWhirr. Skoro go tylko dostrzegłem, pojąłem że to jest właśnie człowiek odpowiedni do danej sytuacji. Nie chcę przez to powiedzieć, abym widział kiedy na własne oczy kapitana MacWhirra, czy też zetknął się z jego poziomym umysłem i nieustraszonym charakterem. MacWhirr nie jest dla mnie znajomością. Jest wytworem dwudziestu lat życia. Mojego własnego życia. Świadoma inwencja odegrała w tem rolę nieznaczną. Jeśli prawdą jest, że kapitan MacWhirr nigdy po tej ziemi nie chodził (osobiście niezmiernie mi trudno w to wierzyć), mogę natomiast zapewnić mych czytelników, że jest najzupełniej autentyczny. Ośmielałem się twierdzić to samo o wszystkich szczegółach opowiadania, a jednocześnie wyznaję, że tajfun z noweli nie jest tajfunem z mych przeżyć osobistych.

Po ukazaniu się tej noweli niektórzy krytycy uznali ją z miejsca za planowy opis burzy. Inni wysunęli na pierwszy plan MacWhirra, w którym wyraźnie dostrzegli umyślny symbol. Ani jedno ani drugie nie było moim wyłącznym

celem. I tajfun, i kapitan MacWhirr — oba te motywy były dla mnie niezbędne, abym mógł z głębokim przekonaniem przystąpić do pracy nad tematem noweli. Okoliczności im sprzyjały. A i mnie sprzyjały także; lecz pocóż rozwodzić się nad tem, jak rozwinąłem swój temat na tych oto kartkach, skoro leżą przede mną, objęte okładką książki, i będą mówić same za siebie.

Ta refleksja jest nieco spóźniona. Gdyby wcześniej przyszła mi na myśl, byłaby może zapobiegła powstaniu mojej przedmowy, ponieważ tę samą uwagę można zastosować do wszystkich nowel niniejszego tomu. Żadna z nich nie jest przeżyciem osobistym w dosłownym znaczeniu. Przeżycie jest w nich tylko kanwą dla zamierzonego obrazu. Wszystkie mają więcej niż jeden cel; każda nasuwa pytanie, jak się autor wywiązał z nastroczającego mu się zadania i każda odpowiada w słowach, które — jeśli mogę tak się wyrazić bez niewczesnej emfazy — pisałem ze świadomym szacunkiem dla prawdy mych własnych uczuć. A każda z tych nowel — aby nabrać odpowiedniego znaczenia — musi usprawiedliwić się po swojemu przed każdym z czytelników.

„Falk“, drugi z rzędu utwór w książce, uraził delikatność conajmniej jednego z krytyków przez pewne osobliwości tematu. Ale co jest tematem Falka? Tak bardzo tego pewien nie jestem. Czytelnik musi sam to wynaleźć. Pisząc „Falka“, nie miałem zamiaru kogokolwiek gorszyć. Jak w większej części mych książek, chodzi mi tu mniej o same wypadki niż o wpływ, który wywierają na osobach z noweli. Ale we wszystkim, co napisałem, jest zawsze jeden niezmienny zamiar, a mianowicie ten, aby przykuć uwagę i obudzić zainteresowanie, zdobywając sympatię czytelnika dla danego tematu — takiego czy innego — który zaczerpnąłem z zakresu widzialnego świata i ludzkich wzruszeń.

Mogę śmiało powiedzieć, że Falk jest w zupełnej zgodzie ze znanymi mi przykładami pewnych prostolinijnych charakterów, w których wrodzona bezwzględność łączy się z pewną moralną skrupulatnością. Falk jest posłuszny swemu instynktowi samozachowawczemu, nie wątpiąc ani na chwilę że ma do tego prawo, ale gdy w jego życiu, którego bronił z całą bezwzględnością, następuje moment kulminacyjny, wówczas Falk nie zniża się do zatajenia prawdy. Ponieważ przedstawiłem go jako człowieka dość wrażliwego, na którym pewne niezwykle przeżycie wywarło wpływ niezatarty, musiałem to przeżycie plastycznie czytelnikowi pokazać; nie ono jest jednak tematem opowiadania. Jeśli weźmiemy pod uwagę same fakty, wówczas tematem noweli będą usiłowania Falka aby się ożenić. Narrator opowieści wplątany jest niespodzianie w tę jego konkury, nie tylko z powodu bezwzględności Falka ale i delikatnych jego uczuć.

„Falk” — na równi z drugą moją nowelą zatytułowaną „Powrót” (z „Opowieści Niepokojących”) — wyróżnia się tem, że nigdy nie był drukowany w odcinku. O ile pamiętam, „Falk” znalazł się w rękach redaktora pewnego przeglądu, który to redaktor odrzucił z oburzeniem rękopis na tej jedynie podstawie, że „dziewczyna nie odzywa się ani razu”. To jest najzupełniejsza prawda. Od początku aż do końca bratanica Hermanna nie wypowiada ani jednego słowa — i to nie dlatego aby była niemową, ale z tej prostej przyczyny, że ilekroć narrator może ją obserwować, dziewczyna albo nie ma okazji do mówienia, albo zanadto jest wzruszona by się odezwać. Redaktor ów, który widocznie nowelę przeczytał, byłby mógł to sam zauważyć. Ale nie zauważył, ja zaś powstrzymałem się od wykazania mu, że inaczej być nie mogło; przecież nie ośmielił się twierdzić, że postać dziewczyny nie jest zgodna z prawdą, więc też jego oburzenie wcale mnie nie obeszło.

Pozostałe nowele wychodziły wszystkie w odcinkach. „Tajfun“ ukazał się we wczesnych numerach Pall Mall Magazine, który był wtedy redagowany przez nieżyjącego już Halketta. Przy tej sposobności zobaczyłem po raz pierwszy swoje pomysły wyrażone innemi środkami przez drugiego artystę. Maurycy Greiffenhagen umiał połączyć w ilustracjach własną, niezmiernie subtelną wizję z wiernem oddaniem natchnień pisarza. „Amy Foster“ pojawiła się w The Illustrated London News z pięknym rysunkiem, który przedstawiał Amy w kapeluszu z wielkim piórem, odwiedzającą rodzinę w dzień swego wychodnego i pojąca dzieciarnię herbatą.

„Jutro“ ukazało się po raz pierwszy w Pall Mall Magazine. O tej noweli powiem tylko to, że uderzyła wiele osób swą scenicznością. Namówiono mię aby ją przerobić na scenę — pod tytułem „Jeszcze jeden dzień“; jak dotychczas jest to jedyny wysiłek mój w tym kierunku. Dodam jeszcze, że każda z czterech nowel — po ukazaniu się w książce — została uznana z różnych powodów za „najlepszą ze zbioru“ przez różnych krytyków, którzy pisali recenzje z gorącym uznaniem i zrozumieniem, z wnikliwością pełną sympatji i w tak przyjaznych wyrazach, że wdzięczność moja dla nich nie ma wprost granic.

1919

J. C.

FALK: WSPOMNIENIE

Kilku z nas siedziało przy obiedzie w małej nadrzecznej gospodzie, nie dalej niż trzydzieści mil od Londynu i mniej niż dwadzieścia od tej płytkiej i niebezpiecznej kałuży, której ludzie z naszej nadbrzeżnej żeglugi nadają wspaniałe miano „oceanu Niemieckiego”. Wszyscy byliśmy mniej lub więcej związani z morzem. Za szerokimi oknami roztaczał się widok na Tamizę, rozległy widok wzdłuż Lower Hope Reach. Ale obiad był ohydny i tylko oczy brały udział w rozkosznej uczcie.

Rozmowę naszą zaprawiał smak słonej wody, która dla tak wielu z nas była prawdziwą wodą żywota. Ten kto zaznał goryczy Oceanu, zachowa jej smak w ustach nazawsze. Lecz paru ludzi z naszej kompanji, rozpieszczonych przez życie na lądzie, uskarżało się na głód. Nie dało się nic przełknąć z tego jedzenia. I naprawdę, wszystko tu miało cechę dziwnej zmurszałości. Drewniana jadalnia sterczała nad błotnistym brzegiem jak nadwodne mieszkanie; deski w podłodze wydawały się zbutwiałe; zgrzybiały kelner dreptał rozczulająco tam i z powrotem przed stoczonym przez robaki, przedpotopowym bufetem; poszczerbione talerze wyglądały, jakby je wygrzebano z jakiegoś przedhistorycznego kopca w pobliżu jeziora z nadwodnymi mieszkaniami, a kotlety przypominały przeszłość bardziej jeszcze zamierzchlą. Przywodziły nieodparcie na myśl mroki pradawnych wieków, gdy pierwotny człowiek, wyłaniając ze swej mętnej świadomości podstawy sztuki kucharskiej, przypalał kawałki mięsa na ogniu z chróstu, w towarzystwie swych zacnych kompanów;

potem zaś, nasycony i szczęśliwy, zasiadał wśród obgryzionych kości, aby snuć niewyszukane opowieści o różnych przeżyciach — o głodzie, o polowaniu — a może i o kobietach!

Ale na szczęście wino okazało się równie stare jak kelner. Tedy rozsiedliśmy się wygodnie — nieco głodni lecz wcale zadowoleni — i rozpoczęliśmy niefrasobliwą gawędę. Mówiliśmy o morzu i wszelkich jego sprawach. Morze nie zmienia się nigdy, a jego sprawy — wbrew ludzkim opowiadaniom — spowite są w tajemniczość. Ale zgadzaliśmy się wszyscy, że czasy się zmieniły. I mówiliśmy o dawnych okrętach, o wypadkach na morzu, o zatonięciach statków, o pokładach ogołoconych z masztów, a także i o człowieku, który przeprowadził cało swój okręt z River Platte do Liwerpoolu pod prowizorycznym takielunkiem. Mówiliśmy o wrakach, o zmniejszonych racjach marynarskich i o bohaterstwie — a przynajmniej o tem co dzienniki nazwałyby bohaterstwem na morzu — o przejawach cnót różniących się zupełnie od bohaterstwa czasów pierwotnych. A niekiedy zapadało wśród nas milczenie i wszyscy razem wpatrywaliśmy się w rzekę.

Przejechał statek z linii Śródziemnomorsko-Wschodniej, kierując się wdół ku morzu. „Pyszne obiady jada się na tych okrętach“, zauważył któryś z naszej kompanji. Ktoś inny o bystrym wzroku wyczytał nazwę na rufie: Arcadia. „Cóż to za piękny okaz statku!“ szepnęło kilku z nas. Za okrętem jechał mały parowiec towarowy, zaś flaga, którą właśnie podniesiono, wskazywała że jest to statek norweski. Parowiec wypuścił mnóstwo dymu, a nim wiatr zwał go zupełnie, pojawił się przed oknami krótki, drewniany bark o wysokich bokach, pod balastem, ciągnięty przez holownik. Wszyscy majtkowie byli zajęci na dziobie przy podnoszeniu przednich żagli, na tylnym zaś pokładzie kobieta w czerwonym kapturze, sam na sam z człowiekiem u steru,

przechadzała się miarowo wzdłuż rufy tam i z powrotem, robiąc na drutach coś z popielatej wełny.

Któryś z naszej gromadki mruknął: — To pewnie Niemcy. — Szyper ma żonę na pokładzie — zauważył ktoś inny; a blask szkarłatnego zachodu, rozgorzały za dymem londyńskim, rzucił żar bengalskich ogni na maszty barku i zniknął z nad Hope Reach.

Wówczas jeden z nas, dotychczas milczący, człowiek po pięćdziesiątce, który dowodził statkami przez ćwierć wieku, rzekł, patrząc na bark sunący teraz wdal, cały czarny wśród blasku rzeki:

— To przypomina mi pewien idjotyczny epizod, który przytrafił mi się przed wielu laty, kiedy zostałem pierwszy raz dowódcą żelaznego barku, przyjmującego ładunek w pewnym wschodnim porcie morskim. Ów port był zarazem stolicą wschodniego królestwa, leżącego nieco w górę od ujścia rzeki, tak jak nieprzymierzając Londyn leży nad tą naszą starą Tamizą. Niema co się nad ową miejscowością rozwodzić; tego rodzaju przygoda mogła wydarzyć się wszędzie, gdzie się znajdują okręty, szyprowie, holowniki i bratanice sieroty o nieopisanej krasie. Idjotyczny ów epizod dotyczy tylko mnie, mego wroga Falka i mego przyjaciela Hermanna.

Słowa „mego przyjaciela Hermanna“ były wypowiedziane jakby ze specjalnym naciskiem, który skłonił któregoś z nas (mówiliśmy właśnie o bohaterstwie) do leniwego i niedbałego pytania:

— A czy ten Hermann był bohaterem?

— Wcale nie, odparł nasz siwy przyjaciel. Bynajmniej. Był to Schiff-Führer: konduktor okrętu. Tak nazywają w Niemczech kapitana statku. Wolę naszą nomenklaturę. Brzmi dobrze i jest w niej coś, co daje nam, jako całości, poczucie wspólnoty — uczeń, pomocnik, kapitan — w dawnym i zaszczytnym morskim zawodzie. Co się tyczy

mego przyjaciela Hermanna, może i był skończonym mistrzem w tym zaszczytnym kunszcie, lecz zwano go oficjalnie Schiff-Führerem, a wygląd jego prosty i ociężały — jak u zamożnego farmera — był zarazem nacechowany dobrodusznym sprytem drobnego sklepikarza. Jego wygolony podbródek, okrągłe członki i ociężałe powieki nie przypominały bynajmniej pracownika morza, jeszcze zaś mniej miłośnika morskich przygód. Jednakże po swojemu pracował znośnie na morzu, jak sklepikarz za ladą. A okręt był źródłem utrzymania dla jego wzrastającej ciągle rodziny.

Statek Hermanna, była to ciężka, silna, tępodzioba machina, przywodząca na myśl prymitywną solidność, podobnie jak drewniany pług naszych praojców. Z wielu względów machina ta sprawiała swojskie i sielskie wrażenie. Wystające w dziwaczny sposób drewniane historyjki u steru — których nie widziałem nigdy na żadnym innym statku — sprawiały, że ten czworokątny ster był podobny do tylnej części młynarskiego wozu. Ale cztery rufowe iluminatory kajuty — każdy zaopatrzony w sześć zielonawych szybek i ujęty w drewniane okienne ramy pomalowane na bronzowo — mogły być równie dobrze okienkami wiejskiej chaty. Malutkie białe firaneczki i zieleń doniczek z kwiatami dopełniały podobieństwa. Raz czy dwa, gdy wypadło mi przepłynąć pod rufą statku, dostrzegłem z łódki okrągłe ramię nachylające polewaczkę i zgiętą, gładką głowę dziewczyny, którą będę zawsze nazywał bratanicą Hermanna, ponieważ naprawdę nie słyszałem nigdy jej imienia, pomimo mej zażyłości z całą rodziną.

Ale zażyłość ta rozwinęła się później. Tymczasem zaś, na równi z całą bracią żeglarską tego wschodniego portu, nie mogłem żywić żadnych wątpliwości co do wyobrażeń Hermanna o higienie w zakresie odzieży. Był najwidoczniej zwolennikiem noszenia na skórze porządnej, grubej flaneli.

Prawie co dnia oglądało się małe sukienki i fartuszki schnące na olinowaniu środkowego masztu, lub rząd drobnych skarpeteczek powiewający na sygnałowych linkach; ale raz na dwa tygodnie cała rodzinna bielizna była obowiązkowo wystawiona na pokaz. Zapełniała caluteńką rufę. Przedwieczorny powiew pobudzał do dziwacznej, flakowatej ruchliwości tę stłoczoną ciżbę bielizny, mającą jakąś niejasną analogję z utopioną, okaleczoną i spłaszczoną ludzkością. Bezgłowe ciała kiwały na człowieka ramionami pozbawionemi rąk; nogi bez stóp kopały fantastycznie powietrze z oklapłym rozmachem; były tam również długie, białe szaty, które chłoneły wiatr przez obszyty koronką otwór u szyi, wydymając się przez chwilę gwałtownie, jakby wskutek przesuwania się jakichś otyłych, niewidzialnych kadłubów. W owe dni można było dostrzec statek na wielką odległość z powodu różnobarwnego, dziwnego rozruchu panującego na rufie, za środkowym masztem.

Statek Hermanna miał swoje miejsce postoju tuż przedemną, nazywał się zaś Djana — ale nie z Efezu tylko z Bremy. Oznajmiały to białe litery długie na stopę, rozmieszczone w wielkich odstępach wpoprzek rufy (coś w rodzaju napisu na szyldzie) pod sielskimi okienkami. Ta śmiesznie nieodpowiednia nazwa uderzała swą impertynencją dla pamięci najczarowniejszej z bogiń; gdyż pomijając fakt, że stary statek był fizycznie niezdolny do wzięcia udziału w jakichkolwiek łowach, mieszkała na nim gromadka czworga dzieci. Wyglądały z nad burty, przypatrując się przepływającym łodziom i niekiedy upuszczając w nie różne przedmioty. I tak, w czasach, kiedy jeszcze nie znaliśmy się z Hermannem na tyle aby z sobą rozmawiać, dostałem kiedyś w kapelusz ohydą lalką z gałganów, należącą do najstarszej córeczki Hermanna. Ale naogół dzieciaki zachowywały się grzecznie. Miały jasne

główki, okrągłe oczy, małe okrągłe noski jak kartofelki i bardzo były podobne do ojca.

Ta Djana z Bremy była najniewinniejszym ze starych okrętów i zdawała się nic o złem morzu nie wiedzieć, tak jak i na lądzie bywają rodziny, które nie wiedzą nic a nic o zepsutym świecie. A uczucia, które budziła, były zwyczajne i należały przeważnie do kategorii uczuć domowych. Djana była rodzinnym ogniskiem. Wszystkie te kochane dzieciaki nauczyły się chodzić na jej obszernym tylnym pokładzie. W rozważaniu takich faktów jest coś ładnego a nawet wzruszającego. Wyobrażam sobie na przykład, że te baki gryzły końce olinowania przy wyrzynaniu się zębów. Obserwowałem wiele razy małego Hermanna (Mikołaja), gdy żuł koniec brasu przedniej górnej rei. Najbardziej lubił przebywać pod kołkownicą głównego masztu. Z chwilą gdy go puszczono luzem, czołgał się tam natychmiast i pierwszy z brzegu majtek, który się pokazał, przynosił malca z powrotem do drzwi kajuty, trzymając go troskliwie i podnosząc wysoko w rękach powalanych smołą. Przypuszczam że działo się to wskutek stale obowiązującego rozporządzenia. W czasie takich przenosin Mikołaj, który był jedyną gwałtowną osobą na statku, usiłował bić po twarzy tych dzielnych młodych majtków niemieckich.

Pani Hermann, miła, zażywna gosposia, nosiła na pokładzie workowate niebieskie suknie w białe kropki. Gdy się zdarzyło raz czy dwa, że zastałem ją przy ładnej małej balijce, trącą energicznie białe kołnierzyki, dziecinne skarpetki i letnie krawaty Hermanna, oblewała się rumieńcem jak młoda dziewczyna, i podniósłszy mokre ręce, witała się zdaleka, kiwając życzliwie głową raz po raz. Rękawy jej były zakasane aż po łokcie, a złota obrączka na palcu połyskiwała wśród mydlin. Miała miły głos, pogodne czoło, gładkie pasma bardzo jasnych włosów i wesoły wyraz

oczu. Była macierzyńska i w miarę rozmowna. Przy uśmiechu tej prostodusznej matrony młodzieńcze dołeczki ukazywały się na świeżych, szerokich policzkach. Natomiast nie widziałem nigdy, aby małomówna bratanica Hermanna, sierota, próbowała się kiedy uśmiechnąć. Nie była to jednak u niej posępność lecz powściągliwość młodocianej powagi.

Wozili ją z sobą wszędzie przez ostatnie trzy lata, aby była wyręką przy dzieciach i towarzystwem dla pani Hermann, jak mi jej mąż kiedyś nadmienił. Bardzo im się bratanica przydawała, póki starsze dzieci nie podrosły, dodał ze strapioną miną. Jej to ramię właśnie i gładka główka mignęły mi pewnego rana w okienkach kajuty na rufie, nad doniczkami z fuksją i rezedą; ale gdy pierwszy raz ujrzałem ją w całej postaci, poddałem się urokowi jej kształtów. Uwieczniły mi tę dziewczynę w pamięci, tak jak wielka piękność, wielka inteligencja, bystry umysł, lub dobroć serca mogły były mi upamiętnić w równym stopniu jakąś inną kobietę.

W niej zaś dominowała harmonja proporcij i wzrostu. Majestatyczny jej czar tkwił w indywidualności fizycznej. Może była także wyjątkowo dowcipna, inteligentna i dobra. Nie wiem, i nie o to tu chodzi. Wiem tylko, że była wspaniale zbudowana. Zbudowana, to jest jedyne właściwe słowo. Była zbudowana, była niejako wzniesiona z królewską hojnością. Zapierało dech na widok beztroskiej rozrzutności materiału zużytego na to dziewczątko. Mimo swej młodzieńczości wydawała się nawskróś dojrzałą, jakby należała do szczęśliwego grona nieśmiertelnych. Musiała być także i ciężka, ale to nic nie szkodzi. Wrażenie jej trwałości było przez to jeszcze wyraźniejsze. Miała zaledwie dziewiętnaście lat. Ale co za barki! Co za krągłe ramiona! Co za rozpęd potężnych członków, gdy w trzech długich susach rzucała się na przewróconego Mikołaja — niepodobna wprost tego opisać. Robiła wrażenie dobrej,

spokojnej dziewczyny, czujnej na potrzeby Leny, upadki Gustawa, stan noska kochanego Karola — dziewczyny sumiennej, ciężko pracującej i tak dalej. Ale jakież wspaniałe miała włosy! Bujne, długie, gęste, płowe. Mieniły się połyskiem drogocennego metalu. Nosila je splecione ciasno w warkocz zwisający dziewczęco na plecy; koniec jego sięgał pasa. Zdumiewała masywność tego warkocza. Słowo daję, przypominał maczugę. Twarz dziewczyny była duża, urodziwa, o niezamąconym wyrazie. Cerę miała ładną, a niebieskie jej oczy tak były blade, że zdawały się patrzeć na świat z bezbarwną, białą niewinnością posągu. Nie można było jej nazwać przystojną. Uroda jej wywierała daleko głębsze wrażenie. Prosty ubiór, bujność kształtów, imponująca postawa i niezwykle silna żywotność, która zdawała się z niej bić jak woń z kwiatu, wszystko to nadawało jej urodzie cechę sielską i olimpijską. Gdy się patrzyło, jak sięgała ku linie z suszącą się bielizną obojgiem ramion wzniesionych wysoko nad głową, zaduma pełna jakiejś pogańskiej czci ogarniała człowieka. Workowate, bawełniane stroje zacnej pani Hermann miały u szyi i u dołu coś w rodzaju prymitywnej koronki, lecz perkalowe suknie dziewczyny nie były ozdobione nawet zmarszczkami, tylko spódnice jej układały się w parę prostych fałd spływających do ziemi, a kiedy stała bez ruchu, fałdy te nabierały jakiegoś surowego i posągowego charakteru. Miała w sobie wrodzony spokój, czy przyszło jej siedzieć czy stać. Ale nie chcę przez to powiedzieć, aby była posągowa. Za bujne w niej było życie; mogła jednak mimo to służyć za wzór do alegorycznego posągu Ziemi. Nie mam na myśli tej zużytej ziemi, jaka jest w naszym władaniu, ale o Ziemi młodszej, o dziewiczej planecie nie napastowanej przez wizje przyszłości, rojące się od potwornych kształtów życia i śmierci, wizje pełne zgiełku okrutnych bojów głodu i myśli.